

JADWIGA MIGOWA.

Odmłodzenie dra Wyrobkówny

(POWIEŚĆ FANTASTYCZNA).

ROZDZIAŁ I.

— Więc kiedyż będę mógł przynieść te skrypta?

— Choćby jutro...

— Tak, mniej więcej o tej porze! nad wieczorem?

— Tak jest...

— A pani będzie tak łaskawą przejrzeć je, skontrolować?...

— Naturalnie... bardzo chętnie...

— W imieniu wszystkich słuchaczy wykładów pani — pozwalam sobie wyrazić podziękowanie...

I młody brunet skłonił swoją śmigłą, zgrabną postać w pełnym wdzięku i uszanowania ukłonie.

Dr Pelagia Wyrobkówna, laureatka wielu nagród naukowych, profesor zwyczajny katedry fizyki, chluba wojującego feminizmu — podniosła zmęczone, wypłowiałe oczy z ponad leżącej przed nią książki... Po krótkiej chwili położyła, z sinawą obwódką powieki opadły znowu, jakby uderzone blaskiem spojrzenia czarnych źrenic, które miały w sobie promiennosc słotca, miękkość aksamitu i ogień młodości... Ale zaraz podniosły się szybko... Dr Wyrobkówna nie odrywała już wzroku od ślicznego, czarownołego chłopaka osmagłej, zuchowatej twarzy...

— Jaki piękny!... — przesunęło się jej przez myśl — Jaki cudownie piękny!... I głos ma dziwnie miły!... i uśmiech!...

W płaskiej piersi pod surową czarną tkaniną coś się zatrzepotało — nieśmiało wprawdzie, ale wyraźnie...

— Cemu pan nie siada, panie Rawski?... Proszę pana bardzo... niech pan spocznie...

— Dziękuję... ja naprawdę nie chciałbym pani zabierać dużo czasu... wiem, że to czas tak cenny... — wyrzekł młody akademik z widocznym zakłopotaniem.

— O!... — uśmiechnęła się blado dr. Wyrobkówna — może znowu nie tak cenny, jakby się zdawać mogło... Niechże pan spocznie... porozmawiamy...

Rawski usiadł na skraju ofiarowanego mu krzesła, ale znać było po nim, że czuje się nieswojo...

— O czym ona chce mówić ze mną?... — myślał — może odgadła, że ja tych jej wykładów o teorii Einsteina to ani w zęb... Wogóle rozmowy z profesorami nie należą do przyjemności, ale już profesor kobieta...

Przez kilkadziesiąt sekund panowało kłopotliwe milczenie.

— Jak panu na imię, panie Rawski? — zapytała Wyrobkówna, sama zaskoczona tem pytaniem, które wyrwało się jej z ust zupełnie niezależnie od świadomej woli.

— Feliks... — (po dyabla jej wiedzieć jak mi na imię!...)

— Feliks... Szczęsny... szczęśliwy... śliczne imię... i czy prorocze?...

Rawski kręcił się niespoinnie na krześle...

— Bo ja wiem, proszę pani... (czego ona się tak patrzy na mnie!... ani chybi, zerżnie mnie przy egzaminie!...)

— A ile pan ma lat?

— Dwadzieścia dwa... (ależ to istna indaga-cja... czuję się, jakbym był u sędziego śledczego!)

— Dwadzieścia dwa... — powtórzyła w zadumie — najpiękniejszy wiek...

— Najpiękniejszy i nie najpiękniejszy... wolałbym już być starszym i mieć egzamina uniwersyteckie poza sobą!... (szczególnie tę przeklętą fizykę!...)

Kiedy mówił, wargi jego pełne, czerwone pod ciemnym puszkciem wysypującego się wosa układały się miękko, niemal pieszczotliwie. Laureatka tylu nagród europejskich, autorka dzieł, przed którymi schylali głowy najwybitniejsi uczeni cywilizowanego świata, patrzyła i patrzyła na te słodkie usta młodzieńcze i napańczyć się nie mogła...

— Zdaży pan jeszcze na czas... — wymówiła jak w półśnie.

— Kiedy mnie zależy na jak najszybszem uzyskaniu dyplomu... (zdaży pan na czas!... ona sobie najwyraźniej drwi ze mnie!... No, żeby to nie była dr. Wyrobkówna, powiedziałbym babie parę słów!)

— Czyż dyplom to szczęście?...

— Z pewnością, że nie szczęście, ale zawsze potrzebny!... Pani, która osiągnęła taką sławę, takie stanowisko — zrozumie to przecież najlepiej... (myślę, że jej dobrze odpowiedział!...)

— Ach! panie Feliksie, gdyby pan wiedział... — urwała nagle, zrozumawszy, że chce powiedzieć o wiele, o wiele za dużo.

Za otwartym oknem parterowego mieszkania, wychodzącym na ogród, powiał silniejszy wiatr. Zgięły się, obciążone liliowem pachnącem kwieciem gałęzie bzuowego krzewu i jedna kiść bzu liliowo-różowa, zroszona wilgocią majowego zmierzchu, wpadła na parapet okna, niby rzucona jakąś niewidzialną ręką.

— Śliczny bez — wyrzekł mimowoli Rawski i zaraz zmieszał się ogromnie, bo mu się wydało, że palnął straszne głupstwo... Z dr. Wyrobkówną zaczynać rozmowę o bzeli...

Ona sięgnęła szybko po upojnie pachnący kwiat...

— Proszę bardzo... niech pan tę gałązkę przypnie do ubrania... To będzie bardzo ładnie... — a oczy jej ożywione nagle, rozbłyśły, zachwycone mówiły: tobie we wszystkim ładnie...

Rawski tego niemego komplementu nie zrozumiał, ale podaną mu gałązkę umocował u klapy jasnej marynarki i kłaniając się, znowu rzekł:

— Doprawdy, nie wiem, jak mam podziękować... (jak to opowieć Antkowi i Władkowi, to wierzyć nie będą chcieli!... e!... ona mnie chyba nie spali przy egzaminie... choć dyabli wiedzą, co tam w takiej mądrej kobiecie siedzi!... stanowczo już wolę profesorów mężczyzn, nawet starego Boleśławicza!... spali, to spali!... ale przynajmniej wiadomo, jak z nim gadać!...)

Dr Pelagia Wyrobkówna czuła nieprzepartą potrzebę powiedzenia temu cudnemu chłopcu czegoś bardzo miłego, bardzo intymnego, czegoś, co by płynęło z najtajniejszej głębi serca... Ale ona w całym życiu swojemu słów takich nie wymawiała i teraz od razu znaleźć odpowiednie było jej bardzo trudno... Zanim znalazła, upłynęła przeszło minuta, a zegar, piękny, kosztowny, artystyczny zegar, dar grona profesorskiego dla znakomitej koleżanki — wydzwonił godzinę siódmą.

Rawski zerwał się, jakby podrzucony jakąś sprężyną do góry.

— Siódma!... — zawołał — pani daruje... ale na mnie czas najwyższy!... (tam do licha!... spóźniłem się!... Hela mi oczy wydrapie!... zaraz powie, że miałem jakąś inną randkę...)

— Pan odchodzi? A możeby pan zechciał zostać u mnie na herbacie?...

— Zostać?... to jest... dziękuję... tyle zaszczytu... uprzejmości... nie wiem, jak mam dziękować... — plątał się (psiakrew!... odmówię — to egzamin faj!... a zostanę, to Hela... A bodaj to, co tu robić!...)

— Więc zostaje pan? — dr. Wyrobkówna wyciągnęła rękę do dzwonka elektrycznego, aby zadzwonić na służącą.

W tej chwili wizyta rozniewanej Heli stała się nad wyraz plastyczną. W dodatku Rawski uprzytomnił sobie, że jego najserdeczniejszy przyjaciel Antek Krabicz gotów wyzyskać ten moment nieporozumienia na swoją korzyść...

— Antek tylko czyha, żeby mi Helię zbuntować!... A niedoczekanie jego!... Co tam egzamin!... Było nie było!... trzeba zmykać!...

I z całą odwagą desperacką oświadczył:

Przepraszam bardzo... jutro... pojutrze... to najchętniej... z najwyższą wdzięcznością przyjmę tak miłe zaproszenie, ale teraz odejść muszę, bo... bo właśnie dzisiaj moja ciotka... ogromnie kochana ciotka... wyjeżdża za granicę na czas nieograniczony... a zatem...

Ach! tak... trudno... więc czekam na pana — jutro!...

Wyciągnęła do niego rękę, a on przez mgnięcie oka zastanawiał się, co począć (co z tym fantem zrobić?... Pocałować w rękę, jak każdą poważną kobietę?... ależ profesorów uniwersytetu nie całuje się po rękach — przynajmniej słuchacze!... E! bo też to z takimi babskimi profesorami... buchnę w mankiety i koniec...)

Wyrobkówna poczuła, że przebiegł ją rozkoszny, gorący dreszcz, gdy świeże, ciepłe usta chłopca dotknęły jej ręki... A gdy w chwilę po-

tem Rawski znikł za drzwiami, wydało jej się, że to mieszkanie, w którym spędziła i przepracowała kilkanaście lat życia — jest dziwnie puste, mroczne, duszne... Czegoś podobnego nie doświadczała nigdy dawniej. Przeciwnie, czuła się tu tak dobrze w tych pokojach umeblowanych z poważną ale wykwinną prostotą, wśród tych szaf pełnych wielkich, w skórę oprawnych tomów, wśród tych przyrządów naukowych, stanowiących treść jej życia... Dlaczego jej tak nagle to wszystko zbrzydło?... I taka jakaś niezrozumiała tęsknota... ta neodparta chęć, żeby on powrócił!... On — ten chłopiec o czarnych, palących oczach...

— Chora jestem, czy co?... Co to się ze mną dzieje...

Przysunęła bliżej ku sobie najnowszą broszurę, omawiającą stosunek teorii Kopernika do teorii Einsteina i usiłowała czytać... B r dzo szybko skonstatowała, że ją w tej chwili Einstein razem ze swoją teorią względności nic a nic nie obchodzi i że z każdego słowa, z każdej litery spoglądają na nią czarne, ogniste oczy, uśmiechają się do niej pieszczotliwie, przestodkie, purpurowe, młodzieńcze usta...

I zdenerwowana, rzuciła książkę na dywan i kopnęła rozsypujące się kariki nieoprawnej broszury... I obejrzała się wokół, szukając lustra... Prawda, zapomniała, że w mieszkaniu jej jedno tylko znajduje się lustro — w sypialni... Tak rzadko się zresztą w tej tafli zwierciadlanej przeglądała, czesząc się i zbierając zwykle „na pamięć”. Teraz jednak nie mogła oprzeć się chęci obejrzenia odbicia swej postaci w lustrze. Przeszła do sypialni i zaświeciła żyrandol elektryczny, zapuściwszy wprzód stopy, aby światło umierającego dnia nie mieszało się z białym blaskiem elektryczności... Potem przez długą chwilę przypatrywała się sobie bardzo uważnie... Studiowała niemal każdy szczegół swej twarzy i figury... Ale lustracya ta nie wypadła zbyt pomyślnie... Bezłitosne zwierciadło odbijało jak najdokładniej i żółtość cery i sieci zmarszczek i zwiele bezbarwne wargi i spłowiałe oczy i pasma siwe wśród włosów nieokreślonego koloru, twardych i bez połysku...

— Stara jestem... tak stara... Choć, ile ja to mam lat?... Doprawdy — to już tyle?... E! chyba ja źle liczę... Tak, tak, może się zdarzyć, że doktor nauk fizycznych i matematycznych źle obliczy swoje lata... A gdyby nawet... toż jeszcze inaczej wyglądać powinienam... O! gdyby tak odmłodnieć można!...

Zgasła światło i powróciła na swe poprzednie miejsce do stolika przy oknie... Pachnący coraz mocniej bzami ogród, pogrążył się w ciemną toń zmierzchu, gdzieś na skraju nieba ukazało się już nawet kilka pierwszych gwiazd.

Pelagia Wyrobkówna nie zapalała światła, nie brała się do czytania, do pracy, ale wbrew swym nawyknieniom, podparwszy leniwie głowę ręką — marzyła... Tak... marzyła, jak najpospolitsza śmiertelniczka, i to nie o nowych laurach na polu pracy naukowej, nie o wiekopomnych wynalazkach, nie o sławie światowej, nie o Koperniku ani o Newtonie, ani o Einsteinie, ale o pięknym chłopcu, co ma czarne oczy i gorące usta i który z pewnością kochać umie — ach! jak umie...

— Gdybym mogła odzyskać jeszcze raz moją młodość — inaczejbym żyła... Bo ja właściwie nigdy młodą nie byłam... I nikt mnie nie kochał... Nie znam pocałunków miłości... Sama praca... nauka... Zamiast sali balowej — pracownia fizykalna... zamiast szeptów miłosnych — monotonny głos starego profesora, mist-za i przewodnika... A jednak zdaje mi się, że kiedy miałam lat ośmnaście, byłam wcale przystojną... Gdyby to powrócić mogło!... O! Feliksie!... Feliksie!...

Drzwi skrzypnęły lekko... Przekręcono kontakt i fala światła zaala pokój... Dr. Wyrobkówna drgnęła jakby ze snu zbudzona i ujrzała przed sobą swoją służącą Hanke.

— Ach! to ty, Haniu?... Dlaczego bez zapytania zapalas światło?

— Przepraszam, nie wiedziałam, że pani profesor siedzi tutaj po ciemku i myślałam, że w pokoju niema nikogo — ilomaczyła się dziewczyna — chciałam właśnie zapytać, czy mogę podać już herbatę?

— Herbatę!... Nie teraz jeszcze... później...

— A kiedy?... Czy bardzo późno... bo to proszę pani profesora... — bąknęła Hanka.

(Ciąg dalszy nastąpi).